Czyżby zmierzch redaktorów?

Florian Śmieja, Jan Kaszuba, Wojciech Krajewski, Adam Bromke, Benedykt Heydenkorn, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauaga, Kanada)*

Panie Redaktorze, pyta Pan mnie, jak to było dawniej sugerując, że ja pamiętam jeszcze, co się działo w ciągu ostatniego półwiecza w prasie polskojęzycznej na Zachodzie. Nie wiem, jak jest z tą pamięcią i czy dużo pamiętać to dobrze. Owszem, w latach czterdziestych zacząłem czytać prasę codzienną i czasopisma w Anglii. Prasa ta miała twarde życie, skoro „Dziennik Polski" ukazuje się w Londynie po dzień dzisiejszy. Widać, że ta prasa miała wiernych czytelników i że była pisana przez ludzi ideowych znających także swój fach. Zresztą sam również brałem aktywny udział redagując, względnie współpracując, przez dziesięć lat z trzema pismami młodych w Londynie. (Odsyłam do trzech książek, które dotychczas ukazały się w Polsce na ten temat. A zanosi się na więcej).

Kiedy w roku 1969 przeniosłem się z Anglii do Kanady, nadal abonowałem znakomity tygodnik londyński „Wiadomości" oraz miesięcznik paryski „Kultura" aż do ich zamknięcia. Natomiast moją prasą codzienną stały się rywalizujące z sobą na terenie Ontario tygodniki (w pewnym momencie jeden z nich stał się pół tygodnikiem) „Głos Polski´ i „Związkowiec". Oba pisma, czy raczej ich cienie, z czasem zamilkły, a kiedyś miały nakłady sięgające tysięcy egzemplarzy, które wówczas się sprzedawały i słały poza granice Kanady. Jaka jest sytuacja obecnie?

Minęły już lata od śmierci w Toronto Benedykta Heydenkorna (1906-1999), wybitnego dziennikarza i wieloletniego redaktora

„Głosu Polskiego”, a później „Związkowca”. Żył mężnie wśród kanadyjskiej Polonii, choć sam z niej nie był, przyjechał bowiem z emigracji niepodległościowej. Przeszedł przez Związek Sowiecki, a potem z II Korpusem gen. Władysława Andersa był we Włoszech i został zdemobilizowany w Anglii. Staż swój w Kanadzie zaczął od kontraktowej pracy fizycznej, ale z czasem stał się korespondentem prasowym (niepłatnym), aż wreszcie współpracownikiem i kierownikiem pism.

Praca w dziennikarstwie była pół wieku temu bardziej honorowa niż intratna. Płace były skromniutkie, żadnych przywilejów, libacji w konsulacie czy darmowych biletów LOT-u. Były to czasy ascezy i wolontariuszy, za to robiło się dużo, bo dla sprawy. Ludzie emigracji żołnierskiej marzyli o powrocie do Polski, nie imponował im Zachód, rzadko który robił karierę. Mniej z pewnością było sporów o pieniądze publiczne, gdyż ich nie było lub były zbyt skromne. Kasa Pożyczkowa dopiero co się wykluła. Z czasem jednak zapał społeczników począł stygnąć, szczególnie, gdy zaczęła odchodzić starszyzna.

Nie panowała bynajmniej wyłącznie sielanka. Jak to wśród krewkich Polaków, wybuchały scysje, zatargi i pomówienia zazdrośników oraz zawiedzionych karierowiczów, blagierów wszelkiej maści, których na emigracji nigdy nie brak, a którym Heydenkorn nie schlebiał i polityków, którym bębenka nie chciał podbijać. Cieszył się za to zaufaniem współpracowników,

wdzięcznością czytelników i wielu członków Polonii, którym gratisowo radził i pomagał. Bo redaktor był kiedyś instancją poważaną, człowiekiem zaufania, który stał ponad partiami i prywatą, osobą nieprzekupną i niezawisłą. Był nieomal moralną wyrocznią.

Jego wyraźny głos znajdował posłuch. Czy kiedy domagał się zwrotu skarbów wawelskich przechowywanych w Kanadzie, czy kwestował na chleb dla Polski, był osobowością, z którą się liczono. Respektowały go także władze kanadyjskie. Od samego początku działalności w Kanadzie opowiadał się za zapisywaniem się Polaków do kanadyjskich partii politycznych i do odgrywania roli w życiu kraju zamieszkania, kiedy nie było to dobrze widziane, a nawet ostro krytykowane.

Animacja polskiego życia kulturalnego w wydaniu Heydenkorna nic nie miała wspólnego z pragmatycznym, czy wręcz interesownym podejściem chytrych i obrotnych aktywistów, którzy się zaczęli pojawiać później. Redaktor wiele rozumiał. No, może dziwił się nieco, że uciekinierzy spod komunizmu tak chętnie zaczęli natychmiast jeździć na Kubę nie martwiąc się o tamtejszą ludność nadal trzymaną w ryzach totalitaryzmu. Cechowała go tolerancyjność i chęć pomagania. Zachęcał i zagrzewał zainteresowanych i radził, podsuwał materiały i wprowadzał do zagadnień i tematów mało dbając o własne imię, a tym bardziej kiesę.

Dziś, gdy przeglądamy stosy wywiadów robionych ostatnimi laty z jednodniowymi fenomenami polskiego życia w Kanadzie, zauważymy, że wśród nich brakuje prezentacji Heydenkorna. Wszystkie płotki są w komplecie, brak dużej ryby. To już wina tuzinkowych ludzi, którzy dosiedli zbyt wysokich dla siebie foteli. Rozeznanie mieli kiepskie i krótkowzroczne. Heydenkorn nie wypinał piersi do orderów i wyróżnień, za to był natchnieniem i dobrym duchem wielu poważnych historyków, socjologów i dziennikarzy, którzy idąc jego śladami studiowali polską diasporę w Kanadzie i napisali o niej wiele istotnych studiów i monografii.

Pamiętam, jak się jedynie łagodnie uśmiechnął, kiedy w „Związkowcu" zaczęła pracować młoda pani przyjezdna z Polski i oświadczyła z tupetem, że była pierwszą dziennikarką z prawdziwego zdarzenia na terenie Kanady. Już o niej zapomniano. Redaktor do końca interesował się fluktuacją polskiej diaspory, sumiennie notował inność kolejnych fal polskich imigrantów przezywanych raz 'mormonami' raz 'sylwestrowo-kabaretowymi', uznając spokojnie, że zmieniają się ludzie i ich ideały a także potrzeby. Mówił do końca o konieczności szybkich przemian struktur polonijnych.

Jakie mogą być moje refleksje Anno Domini 2019? Odeszli od nas wielcy redaktorzy, którzy na Zachodzie pokazali wysoką klasę człowieczeństwa i fachowości, myślę przede wszystkim o Mieczysławie Grydzewskim czy Jerzym Giedroyciu, ale także o

wyżej wymienionym Benedykcie Heydenkornie. I po nich zaległa pustka. Może po prostu w dziennikarstwie nie ma już zapotrzebowania na jednostki nieprzeciętne w erze szarego człowieka, który osobowości ośmieszył i oszkalował, bo nie potrafił im dorównać? Na wielkich spędach i przy szumie nowych gwiazdorów i ulubieńców ludzie płynący nie z prądem musieli przegrać? Nie pasowali do warchołów i konsumentów dóbr, do pogrążających w niesławie dobre imię, na które inni ciężko pracowali przez wiele lat.

Zastanawiałem się onegdaj nad listą ewentualnych solidnych firm, rodaków spolegliwych, na których można polegać. Pomyślałem o jednym takim, co przyleciał do mnie jak po ogień, bo chciał robić pilny wywiad. Zabrał kupę fotografii i nie potrafię tych fotografii odzyskać. Z wywiadu oczywiście, nici. Inny ma moją taśmę i książki i również nie umiem ich odebrać. A niech was z taką solidnością! To chyba wiele mówi o stanie sprawy.

Potem na całym świecie nastąpiło załamanie sie prasy. W miejsce dawnych ambitnych publikacji powstało wiele nowych pism. Teraz, darmowe, walają się wszędzie, ale nie ma wśród nich takiego, którego lektura byłaby konieczna. Nie widać też rzetelnych, słownych redaktorów budzących powszechne zaufanie, bo ustawicznie uwikłani są w połajanki i kłótnie, a równocześnie pretendują do reprezentowania czegoś i kogoś, a jako tacy wirtualni przedstawiciele latają do kraju chcąc za

wszelką cenę pozostać uprzywilejowanymi pupilkami za granicą.

Nowa sytuacja pozbawiła nas głosu. Można i tak żyć. W Polsce nasi ziomkowie zafundowali sobie cezaropapizm. Co nam przyniesie jutro?

O Benedykcie Heydenkornie:

https://www.cultureave.com/wspominajac-wybitnego-redaktora/